

Ks. Jerzy Szymik: O powstaniach śląskich. Z Pszowa, teologicznie

Moi prości przodkowie szli do powstania, bo nie chcieli być tanią siłą roboczą w zapyziałej wschodniej prowincji pruskiego luterńskiego imperium. Chcieli być w katolickiej Polsce, chcieli na Wawel i na Jasną Górę. Być może nie umieliby tego tak nazwać, ale wiedzieli, czego chcą. I było to dla nich tak ważne, że byli gotowi dla tego umrzeć – pisze ks. Jerzy Szymik w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Śląsk – co tu Powstanie?”.

1.

Piszę w Pszowie, w moim domu rodzinnym. Z widokiem na wieżyczkę Urzędu Miejskiego, naszego ratusza, przeszło stuletniego budynku, na którym na kilka godzin, podczas pierwszego powstania, zawisła po raz pierwszy polska flaga. Teraz wisi stale. W herbie Pszowa jest kościół a nasze miejskie barwy są żółto-niebieskie.

Pszów to niewielkie górnośląskie miasteczko, oddalone od granicy z Republiką Czeską o kilkanaście kilometrów, położone w środku trójkąta Rybnik-Racibórz-Wodzisław Śląski. Ulica, przy której stoi moja ojcowizna nosi dumną nazwę „Plebiscytowa”, bo to tu, przed wiekiem, kilka domów dalej, znajdował się polski komitet plebiscytowy. Tu też, na mojej rodzinnej ulicy, toczyła się jedna z powstańczych potyczek.

Sto metrów od mojego domu, 18 sierpnia 1919 roku, został rozstrzelany Józef Tytko, pszowianin. Egzekucji na ciężko rannym Józefie, bez sądu, w obecności żony, dokonał oddział Grentzschutzu. Świadkiem tego mordu była m.in. moja 18-letnia wtedy babcia Matylda. Tytko był dowódcą III Kompanii III Baonu I Pułku Strzelców Rybnickich. Na polach wokół Pszowa zginęli w tym samym dniu również jego trzej podkomendni: Benedykt Tront, Jan Włoczek i Józef Milion.

Dwieście metrów od mojego domu, w centralnym punkcie pszowskiego rynku, który nosi nazwę „Plac Świętego Jana Pawła II”, obok wagonika z węglem z podziemnej kolejki, pamiątki po nieczynnej już kopalni „Anna”, stoi obelisk wybudowany w 1922 roku na pamiątkę połączenia tej części Górnego Śląska z Polską. Został zburzony we wrześniu 1939 roku, odbudowany w przededniu wolnej Polski, w 1987 roku.

W tych samych pierwszych dniach września 1939 roku Niemcy zburzyli tu jeszcze dwa pomniki: pomnik ku czci poległych pszowian w wojnie z bolszewikami w 1920 roku oraz „Pomnik Czynu Powstańczego”, który stał na placu Bazyliki pod wezwaniem Narodzenia NMP – Pszów to sanktuarium maryjne, miejsce czci Pani Uśmiechniętej. Ten drugi pomnik został w zmienionej formie odbudowany, pierwszy zniknął z krajobrazu miasteczka po dziś dzień. Za kaplicą Świętego Krzyża, na cmentarnej części placu Bazyliki, został pochowany Edward Łatka, dowódca I Pszowskiego Batalionu Powstańczego. Zginął 23 maja 1921 roku podczas zwycięskiej dla powstańców Bitwy nad Olzą. Trochę dalej, w dzielnicy Stara Maszyna, przy ulicy P.O.W., stoi smukły krzyż upamiętniający złożenie przysięgi przez członków pszowskiej grupy

Polskiej Organizacji Wojskowej w roku 1919. Pszowska grupa liczyła 173 peowiaków. 30% wszystkich śląskich peowiaków pochodziło z ziemi rybnicko-wodzisławskiej.

2.

Cóż dodać?

Może to, że powstańcami byli obaj moi dziadkowie, Antoni i Teodor oraz trzech moich pradziadków; dwaj pierwsi jako nastolatki, pradziadkowie byli już wtedy mocno po czterdziestce. Pamiętam, że starzik Teodor był w latach 60-tych skarbnikiem pszowskiego oddziału ZBoWiD, organizacji, w której komuniści połączyli powstańców z różnej maści czerwonymi bojcami. Pamiętam jak przychodzą do niego koledzy w powstańczych mundurach, płacą składki, on zapisuje rzędy cyfr kopiowym ołówkiem w podniszczonych zeszytach, palą sporty, rozmawiają gwarą i mają smutne twarze ludzi, z których zadrwiła historia. Pamiętam jak chodziłem ze starzikiem na powstańcze capstrzyki, było ognisko, grochówka, czasem sztuczne ognie. Capstrzyki organizowali 2 maja – 1 maja nie chcieli, 3 maja nie mogli. W zdecydowanej większości już nie doczekali wolnej Polski a jeśli jednak o czymś byli dobrego zdania, wtedy używali zwrotu: „jest jak piyrwej, jak za starej Polski”.

Na pszowskim cmentarzu zatrzymuję się często przy grobie Franciszka Jaźwca, pierwszego prezesa pszowskiego „Towarzystwa Śpiewaczego im. Paderewskiego”. Jaźwiec, urodzony w 1886 roku, był działaczem narodowym, społecznikiem, podróżnikiem, muzykiem, poetyckim

samorodkiem. Przed wybuchem I wojny światowej był za swoją kulturową propolską aktywność włączony po sądach w Loslau, Ratibor, Breslau. Nie dożył powstań, zmarł w wieku 33 lat, 15 kwietnia 1919 roku. Pisał tak: „Wierzyć, cierpieć i walczyć. Wierzyć w odrodzenie nasze i naszej kochanej Ojczyzny. Cierpieć do czasu lepszej doli i przyszłości. Walczyć ze wszystkim złem i podłem, aby nareszcie nastał czas i przyszłość światlejsza”. Na jego nagrobnym pomniku są wyryte słowa z wiersza Damrota: „Czego nie zdobyli mieczem / waleczni mocarze / To wywalczą pieśnią / pobożni pieśniarze”.

Taki jest rodzinny, osobisty kontekst mojego – teologicznego – rozumienia fenomenu powstań śląskich. Nie umiem bez tego kontekstu o powstaniach myśleć, mówić, pisać. Nie da się.

3.

O powstaniach śląskich – jak słyszę i czytam – można w zasadzie dzisiaj powiedzieć wszystko, z typowym dla dzisiaj tupetem i głupotą pozbawioną granic. Na przykład to, że były niczym więcej niż brutalną wojną domową. Że były dziełem smarkaczy, którzy lubili wypić i postrzelać. Ot, męty społeczne, swołocz, której nie w smak był niemiecki ład i pruski Ordnung; lenie, słowiański gen, polnische Wirtschaft. Że były robaczywym owocem kłamliwej polskiej propagandy i ostatecznie polską agresją wobec niewinnego Śląska. Że były nieszczęściem, które absurdalnie podzieliło Śląsk, ba, rodziny, doprowadzając do licznych tragedii i nieodwracalnych pęknięć. Że były zamachem na naturalną wielokulturowość Śląska, szkodliwym i niepotrzebnym uderzeniem w sielskość hajmatu. Że były lokalną namiastką ogólnoswiatowego wyzwalania klasy robotniczej i jej

rodzącej się klasowej samoświadomości. Że były sarmackim, niestety, pobrzękiwaniem szabelką, z którego, jak zawsze, nic pożytecznego nie wyszło. Że były pragmatycznym i profetycznym sprzeciwem części Ślązaków przeciw germańskiemu „genowi samobójstwa”, odzywającemu się cyklicznie w teutońskiej duszy. I sądzę, że tylko ta ostatnia teza – jedyna z tu wyliczonych - jest godna namysłu.

Pytanie: jak to się stało, jak to się w ogóle mogło stać, że w Ślązakach pozostał duch polskości, mimo że od 600 lat żyli poza Polską? I to tak mocny, że powstali - na śmierć i życie. Czy jest za to odpowiedzialny wyłącznie wiek XIX, wiek „narodzin nacjonalizmów”, jak chce lewicowa historiografia? A może to uboczny skutek drapieżnego pruskiego kapitalizmu z luterskim sznytem i faustowskim diabłem w tle, z przedchrześcijańskim, pogańskim germanizmem u korzeni, prekursorem hitleryzmu a chyba i transparentów z runą Sieg pod katowicką katedrą?

Nie znam ostatecznej, pełnej odpowiedzi na to pytanie („jak to się stało...?). Znam liczne odpowiedzi cząstkowe, udzielane kiedyś chętnie przez komunistów i rusofilów a dzisiaj przez liberałów i germanofilów. Nie są warte większej uwagi a dyskredytują je także powody pozamerytoryczne. Bo za pierwszymi stał partyjny awans i związane z nim profity, za drugimi sówite nierzadko granty (nie zawsze, choć często). I w obu przypadkach stoi za nimi obcy – powstańcom i mnie – światopogląd. A nawet więcej: inna wiara.

Więc nie znam ostatecznej odpowiedzi, myślę, że jest złożona, wielowarstwowa, ale chciałbym do tej kwestii dołożyć ważną – w moim najgłębszym przekonaniu – cegiełkę.

4.

Otóż twierdzę, że istotnym czynnikiem, który koniecznie trzeba wziąć pod uwagę, poszukując odpowiedzi na powyższe pytanie, jest nie co innego jak święta wiara katolicka. Moi przodkowie, powstańcy śląscy, a wiem o tym na pewno, szli do powstania przede wszystkim dlatego, że kształt polskiego katolicyzmu i wyrastającej zeń organicznie kultury był dla nich najwyższą duchową i kulturową wartością.

Chodziło i chodzi w gruncie rzeczy o wolność. A ten rodzaj wolności, o który chodziło i chodzi, jest możliwy tylko w katolicyzmie, w kulturze rzeźbionej katolicyzmem. Ten rodzaj wolności na Śląsku, krainie narożnej – gdzie przenikało i zderzało się ze sobą od wieków to, co czeskie (austriackie), niemieckie (germańskie), a w ostatnim stuleciu i to, co rosyjskie (radzieckie) a zawsze to, co polskie – jest możliwy tylko i wyłącznie w tym ostatnim. Można się z tej diagnozy i tezy podśmiechiwać do woli (polak-katolik, ha, ha, czyli warcholstwo, zacofanie, zaścianek, nienadążanie, „nieprzepracowanie oświecenia”; katolicyzm i wolność!, ha, ha, itp. itd.), ale zdaje się, że ludzie pokroju Jana Pawła II wiedzieliby o czym mówię. I zdaje się też, że najbardziej współczesny, najaktualniejszy spór o wolność jest właśnie o tym.

Więc moi prości przodkowie szli do powstania, bo nie chcieli być tanią siłą roboczą w zapyziałej wschodniej prowincji pruskiego luterńskiego imperium. Chcieli być w katolickiej Polsce, chcieli na Wawel i na Jasną Górę. Być może nie umieliby tego tak nazwać, ale wiedzieli, czego chcą.

I było to dla nich tak ważne, że byli gotowi dla tego umrzeć. Bo Wawel i Jasna Góra były dla nich tym właśnie: wolnością, którą może im dać tylko polski kształt katolicyzmu.

Moi przodkowie na przełomie XVII i XVIII wieku, jeszcze za panowania Austrii na śląskiej ziemi, wyprawiali się rok w rok przed żniwami do „Czynstochów” – jak się u nas mówi – a w 1722 roku podczas takiej czerwcowej pielgrzymki nabyli kopię Królowej Polski, przemaalowali ją z czarnej na jasną, z bolesnej na uśmiechniętą i czcimy ją do dzisiaj w głównym ołtarzu pszowskiej bazyliki. Jest od 300 lat *Causa Nostrae Laetitiae* – Przyczyną naszej Radości.

Kiedy w 1925 roku powstała Diecezja Katowicka, wtedy jej władarze natychmiast wybudowali w Krakowie Śląskie Seminarium Duchowne, by przyszli górnośląscy duszpasterze uczyli się „po polsku”, pod Wawelem, nie zważając na to, że byli tam niekiedy uważani, bywało, za parweniuchy, z akcentem i prowincjonalnymi przypadłościami. Ot, śląski los... Ja też kończyłem Śląskie Seminarium Duchowne w Krakowie. Święcenia przyjąłem w Katowicach i w 43. roku pracy duszpasterskiej wśród Ślązaków wszystkich opcji (których wszystkich, i każdą z ich opcji, szanuję), powtórzę: kluczem do Śląska, do jego powstań i czasu pokoju jest Chrystus i wiara, Kościół i katolicyzm.

Że Polska była naiwnym marzeniem, utopią, idealizacją daleką od rzeczywistości? Oczywiście, na tej ziemi rzeczy nigdy nie są takimi, jakimi jawią się w marzeniach. Ale to nie znaczy, że racja jest po stronie antymarzeń i pragmatyzmu („pacz sz czego żyjesz” i „chwol tego, co jysz chlyb jego”, powiadali przeciwnicy powstań). Wręcz przeciwnie.

Można potępiać powstania śląskie jak się potępia listopadowe, styczniowe i warszawskie (ułańskość, kult klęski itp.). Lecz powstańcy czuli się „niewolni w Prusiech”. I to było decydujące, to wystarczyło. Ale to wszystko generował głęboki motyw metafizyczny, twierdząc: wiara, Kościół, katolicyzm. Wiem, co piszę, bo płynie we mnie ich krew.

Jest nad czym myśleć, bo zdaje się, że sprawa Śląska i jego powstań, jego Powstańców, dotyka w niebywale wrażliwy sposób tego, co dzieje się z Polską i w Polsce A.D. 2021. Cytowałem już na tych łamach słynne zdanie Miłosza, powtórzę to „stwierdzenie brutalnie proste” naszego Noblisty: „mieszkaniec Polski, szukając duchowego pokarmu, albo ma katolicyzm, albo nie ma nic”.

5.

W tym roku ukazał się reprint jednego z najciekawszych dzieł na temat fenomenu Górnego Śląska, książki zamordowanego w Dachau błogosławionego księdza Emila Szramka pt. „Śląsk jako problem socjologiczny. Próba analizy”, tekstu pochodzącego z 1934 roku. Polskość i katolickość uznaje autor za organiczną cechę Śląska (!). Główna teza i aksjologiczne założenie rozprawy Szramka są następujące, cytuję za profesorem Wojciechem Świątkiewiczem: „Znaczenie i pozycja Śląska wyrasta z misji dziejowej jaką pełni on wobec świata. Zarówno w przeszłości, jak i w przyszłości Śląsk jest, był i powinien być pomostem łączącym różne narody, zwłaszcza Niemców i Polaków, a w obliczu zjednoczenia z Polską pełni również funkcję

duchowego zwornika narodu". I teraz: „legitymacją i gwarancją misji dziejowej Śląska jest kondycja moralna Ślązaków mająca swoje ugruntowanie w religii katolickiej”.

Szramek idzie ostro, jednoznacznie, a łącząc opis z postulatem, pisze: „Zdolność do pogodzenia tylu i tak powikłanych pomiędzy sobą kontrastów na terenie Śląska posiada tylko Kościół katolicki, który ludzi wszelkich ras, kultur, narodowości i warstw społecznych uważa i traktuje jako równouprawnione i jednakowo miłowane dzieci Boże”. I cytuje Księdza Kapicę, wielkiego działacza politycznego i społecznego z początków istnienia górnośląskiej diecezji: „Chrystus to precudna harmonja między niebem a ziemią, między Bogiem a człowiekiem, między człowiekiem a człowiekiem, między narodem a ludzkością, między nacjonalizmem a uniwersalizmem”. Twierdę, że właśnie o to walczyli świadomie i podświadomie śląscy powstańcy. Tak chcieli żyć: uniwersalnie i pokojowo, po katolicku i po polsku. „Jak za starej Polski”.

Niczego nie chcę tutaj naginać ani imputować. Namawiam natomiast do przemyślenia tej kwestii i przywołanych faktów, także argumentów. Bo zdaje się, że sprawa jest równie gorąca dziś jak sto lat temu, i nie tylko dla Śląska, ale i dla Polski, Europy, świata. Czyż nie jest bowiem tak, że wielka sprawa wolności i kultury wolności, którą tworzy to, co katolickie i polskie, jest czymś o co warto i trzeba walczyć? Czyż nie jest to Sprawa godna powstania? O którą warto powstawać w ciągle nowych powstaniach? Jak pisał Jaźwiec: „wierzyć, cierpieć i walczyć, aby nareszcie nastał czas i przyszłość światlejsza”.

W każdym razie mój pradziadek Teodor, członek Rady Gminy polskiego po powstaniach Pszowa, musiał wiedzieć na ten temat sporo. O nim, ubogim chłopaku spod Rybnika, który opuścił Śląsk za chlebem, pracującym w kopalniach Westfalii na przełomie XIX i XX wieku, który wrócił na Śląsk, do Pszowa, na czas plebiscytu, powstań i Polski, jest ta opowieść, mój wiersz z lutego 2013 roku. „Pradziadek Teodor”:

To było sto lat temu.

W Eigen, dzielnicy Bottrop,
w Zagłębiu Ruhry, w Westfalii,
mój pradziadek Teodor idzie z

białoczerwoną flagą, 3 maja,
na czele pochodu-procesji.
Das Bergwerk Prosper-Haniel
in Bottrop jest wydajna jak nigdy,

Herz-Iesu-Kirche przepełniony,
rozmodlony. Teodor i Anna
mają ośmioro dzieci. Czwooro
dożywa starości: trzy córki i syn –

– mój dziadek, Teodor junior.
Ja też noszę to imię jako drugie,
chrzcielne, z pamięcią po nich.
Tamtego 3 maja do Teodora nikt

nie strzela, ale wiadomo, wtedy i
dziś, że iść w procesji Polaków i
katolików znaczy iść drogą donikąd.
Wraca na Śląsk. Całuje ziemię w

Czernicy, zamieszkuje w Pszowie,
zawsze *kumorom. Piyńcioraki fach,*
siedmiorako biyda – tak będzie
opisywała jego życie synowa Matylda.

Rozminęliśmy się na tym świecie o rok:
+1952 on, *1953 ja. Przyglądamy się sobie z
dwóch stron czasu, z rosnącym zrozumieniem.
Wiele mamy sobie do opowiedzenia.

Przyjdzie na to pora

Ks. Jerzy Szymik
Pszów, 29-31 lipca 2021 r.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego
i Sportu



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2020

